



Stefan Graliński

**W POMROKACH
WIARY**

opowieści niesamowite

W pomrokach wiary

Stefan Grabiński

W pomrokach wiary

opowieści niesamowite

Armoryka

[Kup książkę](#)

Redaktor tomu: Marta Sarwa
Projekt okładki: Juliusz Susak

© Wydawnictwo ARMORYKA 2016

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-183-9

[Kup książkę](#)

NA WZGÓRZU RÓŻ

Da quella bocca dorde usciano i fiori,
Ora n'escono i vermi... oh! che pietade!...
W ustach, co niegdyś tchnęły wonią kwiatów,
Robak się łęgnie – bolesny widoku!...

Piosenka neapolitańska

Było lato – parne, upalne – pora, gdy miasto się wyludnia, po ulicach wzbijają tumany kurzu, błakają zapomniani samotnicy.

Zalecono mi kąpiele słoneczne i wyjazd na wieś, gdzie mógłbym swobodnie przeprowadzić kurację. Niestety obowiązki, zajęcia, nie pozwalały opuszczać miasta. Musiałem więc dla uniknięcia ciekawości i natręctwa ludzi poszukać odpowiedniego miejsca w okolicach podmiejskich.

Po bezskutecznych wędrówkach znalazłem wreszcie nader dogodne, ustronne, o jakie cztery kilometry od centrum ruchu. Właściwie odkryłem je całkiem przypadkowo, zapędziwszy się w swych poszukiwaniach w nieznane mi dotychczas strony. Leżało za małym laskiem, ogrodzone od gościńca głębokimi jarami, zasłonięte przed okiem przechodnia łańcuchem pagórków.

Była to przestronna łąka, zarosła jedwabistą trawą, pełna woni roślin pastewnych i ziół. Pośrodku stał samotnie wysoki mur z czerwonej cegły, tworząc zamknięty czworo-

bok. Zrazu zaniepokoił mnie nieco, gdyż przypuszczałem, że zawiera we wnętrzu jakąś siedzibę, lecz oglądając go dokładnie, przekonałem się, że nie ma nigdzie wejścia ani otworu. Ponadto wokół nie widziałem żadnej ścieżki, żadnego utartego toru. Tylko przez pierwszych parę dni zdawało mi się, że dostrzegam świeże ślady podków końskich. Zbadałem mur w miejscu poczynania się odcisków, lecz nie zauważyłem nic szczególnego na jego powierzchni. Zresztą niebawem przestałem zwracać uwagę na tropy, gdy zatarły je deszcze, zarosły trawy. Ostatecznie uspokoił mnie zupełny w tej stronie brak choćby najmniejszej poszlaki ludzkiego życia.

Ciszę mącił chyba tylko bzyk koników polnych lub daleki turkot wozu za wądołami. Mur zdawał się stykać bezpośrednio z nieboskłonem: ponad nim nie wyrzelało ani jedno drzewo, nie czernił się szczyt domu, nie kędzierzawił pióropusz dymu, wyniosłe, ceglaste ściany szły prosto w górę, wsiąkając w lazur widnokręgu.

Szczęśliwy z zajęcia tak wygodnego stanowiska, poddałem się z zapalem działaniu ożywczych promieni słońca. Opierałem się plecami o mur i w tej pozycji siedząc na ziemi, wygrzewałem się. Wybierałem umyślnie porę obiadową, gdy energia słońca dochodzi do szczytu. Wkoło mnie roztaczały całe bogactwa swych woni zioła prażone spieką południa, zanosiły się brzękiem świerszcze. Wydzieliny rumianku, mięty, zawrotny zapach macierzanki unosiły się w rozedrganym eterze gęstymi, wąskimi jak ciecz falami. Miałem wrażenie czegoś niemal dotykального... Zresztą cisza bezwietrzna, senliwa... Czasem ledwo dosłyszalne tarcie kanarkowych skrzydełek cytrynka, osypywanie się mączki z brzemiennej torebki kwiatu... Czasem gdzieś hen, daleko, w zenicie świegot skowronka, urwany odzew przepiórki...

Nade mną słońce czyste, bez skazy pławiło się w roztopionym złocie, wyginało łomkie brzegi tarczy połyskliwym ruchem.

Ukołysany wonią ziół, uśpiony skwarem, przechylałem głowę wstecz, śledząc gorączkę chmur, goniąc oczyma za obłokami, które jak pijane zataczały po niebie nieokreślone drogi, nie śmiąc przesłonić słońca, zbyt potężnego w tej chwili; Odpychało je daleko precz nerwistym rozkurczem promieni. Wreszcie koło południa wpadałem pod wpływem upału i orgii woni w rodzaj snu, czy ekstazy. Trwała zwykle niedługo, może z kwadrans, lecz była tak upajającą, że z chęcią przedłużyłbym ją z godzinę.

Zrazu nie wypełniała jej żadna konkretna wizja, po której pozostawałoby wspomnienie w formie na przykład obrazu, natomiast wytwarzało się wrażenie zapachu róż. – Mówię wytwarzało się, gdyż tak początkowo starałem się rzecz wyjaśnić. Myślałem, że róże, to tylko wytwór wewnętrzny mego przeczulonego powonienia pod wpływem ekstazy. Powoli jednak zmieniałem zapatrywanie, gdy woń róż dawała mi się uczuwać przez dni następne już wcześniej przed wspomnianym zapamiętaniem. Musiała zatem pochodzić od rzeczywistych kwiatów, które mogły rość tylko w obrębie muru. Jakoż istotnie róże pachniały silniej, ilekroć wiatr przerzucił przez jego szczyt zwiewne masy rozgrzanego powietrza. Róże kwitły poza murem.

Odtąd podniecona ciekawością wyobraźnia zaczęła czynić wycieczki na niepewne w krainę najdzikszych domysłów. Może jakiś dziwak–ogrodnik zamknął się w czterech ścianach z cegły i pielęgnuje kwiaty dla pięknej fantazji – może jakiś znudzony życiem pięknoduch na poły zbozony...

Przykładałem ucho, uderzałem w mur kamieniami, parę nawet cisnąłem na drugą stronę... wszystko bez skutku: nie usłyszałem odpowiedzi.

Dałem więc spokój, upewniony, że przestrzeń poza murem jest pusta i niezamieszkała przez ludzką istotę, co najwyżej zarosła różami. Kwestia jej zawartości byłaby mnie nawet zupełnie przestała zajmować, gdyby nie pewne okoliczności, towarzyszące ekstazie, jako też zmiany, jakie po czasie wystąpiły w niej samej.

Czwartego dnia dotknęło mnie wmieszanie się do zwykłej woni ziół i róż jeszcze innego, specjalnego zapachu. Zapewniam, że aż do rozwiązania zagadki nie miałem pojęcia o jego rodzaju, tak, żebym przy pomocy czysto normalnych, codziennych, że się tak wyrażę, funkcji powonienia, w połączeniu z rozumowymi przesłankami nie mógł wyciągnąć wniosku o źródle jego pochodzenia. Tylko domyślałem się, że ów szczególny zapach, który wnął się pomiędzy dotychczasowe, zapewne sam musiałby być znacznie silniejszy, wyraźniejszy, lecz że w obecnym położeniu był przytłumiony i przekształcony przez inne.

Do mnie dochodziła tylko wypadkowa przeróżnych woni, otrzymana przez ich wzajemną interferencję. Stąd mimo wysiłków nie mogłem nic o niej zawyrokować: była mi obcą, nieznaną, czułem ją po raz pierwszy w życiu.

Równolegle z tym począł się zmieniać stan ekstatyczny południa. Pewnego dnia, gdy opity słońcem odchyliłem wstecz głowę i spojrzałem tam, gdzie się mur stykał z siwą kopułą niebios, zdało mi się, że w tejże chwili cofnęła się poza brzeg jakaś głowa. Nieokreślony strach przeszedł na wskroś całą mą istotę; wyglądało na to, że ktoś mnie bez mej wiedzy śledził przez dłuższy czas spoza muru, a spostrzegłszy, że to zauważył, szybko skrył się na powrót. Oprzytomniawszy, zacząłem sobie to tłumaczyć zwykłą

wizją, tak częstą w ekstazie, usiłowałem się uspokoić. Lecznadaremnie: ciągle studiowałem w myśli wyraz widzianej twarzy i kształt głowy. Ukazała mi się jednak na tak krótką chwilę, że trudno było określić jej rysy.

Wróciłem do domu wysoce podniecony i niecierpliwie oczekiwałem dnia następnego, pewny, że nadarzy się sposobność lepszego przyjrzenia się tajemniczemu zjawisku. Lecz nazajutrz spadł deszcz, co mnie przyprawiło o rozpacz. Zdenerwowany oczekiwaniem pogody, powitałem dopiero trzeciego dnia zbawcze słońce.

Gdy rozgrzanie ziemi i roślin osiągnęło swój punkt zwrotny, znów uczułem wśród chaosu woni tę jedną, nieuchwytną, chociaż teraz już nieco dobitniej zaakcentowaną.

W przekonaniu, że zjawie istotnie brak wszelkiej rzeczywistej podstawy, wyteżałem wzrok i siłę się, by zachować przytomność umysłu, chcąc w ten sposób zapobiec jej wyłonieniu.

Tymczasem słońce, róże, a może i owo coś nieznane wzięło górę, obezwładniło umysł i w samo południe ujrzałem pochyloną nade mną przez zrąb muru subtelnie piękną, tym razem wyraźnie kobiecą głowę. Była jakby z mgły, zatarta, utkana z ledwo dostrzegalnych atomów; owal pociągły, szlachetny, źrenice w perłowej oprawie białek i włosy ujęte w tyle głowy w grecki węzeł, koloru oznaczyć nie mogłem, bo materia, z której zjawisko utkało swą postać, była nieokreślonej, galaretowatej barwy. Patrzyła smutno, z wyrzutem. Gdy chciałem przemówić, rozwiała się.

Przez te następne dni powtarzało się to samo, z tą różnicą, że nieznajoma powoli jakby unosiła się ponad murem w całej postaci, odziana w szatę z mgieł. Zdziwiła mnie linia jej ciała: wyglądała na siedzącą; jej drobne, arystokratyczne ręce, o bosko wydłużonych palcach zwisały bezwładnie, jakby z jakiegoś oparcia. Była tak niezwykle

piękna, że wziąłem ją za uosobiony ideał mej wyobraźni, wyrzucony na zewnątrz szczególnym sposobem w stanie zachwyty. Rozkochałem się w nim do niepamięci i żyłem tylko krótkimi, momentalnie krótkimi, chwilami, w których mi się ukazywała.

Aż razu jednego – był to już czwarty dzień z rzędu, od czasu pierwszego wyłonienia się – spostrzegłem z przerażeniem zagadkową zmianę w tej anielskiej twarzy. Jakaś ciemna jak otchłań plama wykwitła na prawem licu. Naza jutrz rozszerzyła się gwałtownie i objęła czoło. Była podobna do plam, które w jasną noc widać na tarczy księżyca: wiała z nich pustka i chłód.

Niebawem wzdłuż jej alabastrowych rąk przeciągnęły się również niepokojące cienie. Śledziłem z rozpaczą niewytłumaczoną postęp tego zaniku, czy zaćmienia, świetlanej wizji. Zmiany te posuwały się równoległe z przekształceniami w jakości owej specjalnej woni, o której wspominałem już parokrotnie. Nie powiem, że ta ostatnia nabierała intensywności, bo wtedy być może od razu byłbym odgadł jej genezę, ile raczej nabierała coraz to odmienniejszego zabarwienia.

Ta właśnie równoległość obu zmian naprowadziła na wniosek o ich wzajemnej zależności, przy czym powziąłem podejrzenie, iż wchodzi tu w grę mój anormalnie rozwinięty zmysł węchu.

Pod tym względem należałem do wyjątków. Wszystkie jednak niezwykle zdolności me w tym kierunku zdradzałem li tylko w chwili silnego podniecenia, zdenerwowania itp. Kiedy indziej węch mój w niczym nie oddalał się od przeciętnego zakresu. Dodać należy, że zawsze w takich wypadkach wyglądałem nieco anormalnie, chociaż przeważnie byłem najzupełniej przytomny. Wiedząc o tej mej właściwości, podrażniono mnie raz umyślnie podczas

konwersacji, toczącej się w jadalni. Pani domu postawiła tymczasem na stole w salonie wspaniałą wazę na kwiaty, której dotąd nie widziałem, gdyż była świeżo sprowadzona. Wazy absolutnie ani ja, ani nikt inny z gości dostrzec nie mógł, bo salon znajdował się aż w trzecim pokoju, na lewo. Ponadto pozamykano drzwi tak, że żaden z obecnych stanowczo nie wyczuwał najmniejszego śladu, jakiegokolwiek woni. Po chwili ukazała się pani W. i z uśmiechem zwracając się do mnie, zapytała:

- Jakżeż podoba się panu mój nowy nabytek?
- Czy myśli pani o wazonie w salonie?
- Oczywiście.
- Istotnie prześliczny.

I dokładnie opisałem jego kształt. Był w formie rozgwiazdy ośmioramiennej, inkrustowany po krajach korałem. Nie omieszkalem wyszczególnić kwiatów w nim umieszczonych, jako też gustownego ornamentu, w którym je ułożono. Drogocenne naczynie napełniono wonną esencją dla ułatwienia mi zadania.

Innym razem podstępnie podniecono mnie trochę szampanem, po czym kazano odgadywać dwanaście różnych przedmiotów, pochowanych w szkatułkach i skropionych jakimś wonnym olejkiem. Próba udała się wybornie; wymienilem po kolei wszystkie bez zająknięcia.

Swoją drogą unikałem podobnych eksperymentów, bo po każdym doznawałem niezmiernego znużenia i nerwobólów.

Chociaż proces, jaki zachodził u mnie przy wspomnianych doświadczeniach, był zapewne bardzo złożony, starałem się przecieżyć, choć w głównych zarysach ująć jego istotę. Że z woni ciała mogłem wnioskować o jego kształcie, położeniu, może nawet i ruchach – to, zdaje się, było wynikiem całego splotu fizjologicznych zająć.

Każdy punkt ciała wysyłał woń o specjalnym, poniekąd zindywidualizowanym zabarwieniu, wywołując odpowiednią podniecie w mych ośrodkach węchowych. Jeśli woń pojmimy jako ruch cząstek eteru, podobny do ruchu fal światła, ciepła itd., to sprawa przedstawi się jasno. Suma podrażnień, rozlokowanych na korze mózgowej odpowiednio do ich źródła, dawała wrażenie całości, a tą drogą podziemnej komunikacji przerabiała się na takąż sumę podrażnień wzrokowych i przenosiła na ośrodki optyczne, wytwarzając obraz wewnętrzny. Skutkiem szczególnej, być może mnie tylko właściwej wrażliwości centrów węchu i wzroku, istniała tu prawdopodobnie bardzo ścisła korelacja obu zmysłów. Najdrobniejsze przemiany w jednym znachodziły natychmiastowy oddźwięk w drugim: ośrodki jakby udzielały sobie swych sensacji, zarażając się nimi nawzajem. Współdziałała też zapewne spotęgowana niebywale subtelna pamięć, która po doznaniu szeregu podrażnień węchowych w lot przypominała mi odpowiadający jej szereg wzrokowy, знаła wszelkie możliwe, wzajemne ich kombinacje i skojarzenia. Może nawet jak genialny znawca tonów z kilku zasadniczych motywów dogrywa całokształt symfonii, domyślała się z zaczątków reszty.

Nigdy nie mogłem twierdzić, że ciało *widzę* w zwykłym znaczeniu tego słowa. Jeśli przecież używałem tego wyrażenia, mówiłem tylko przenośnie lub też występowała wtedy w swej roli wyobraźnia, projekcjonując obraz na zewnątrz.

Jeśli atoli woń nie jest falą, lecz powstaje wskutek odrywania się cząstek ciała, to widocznie odbywa się ono symetrycznie, stosownie do kształtu i rodzaju przedmiotu, lub też umiałem uporządkować bezładny chaos podrażnień, idąc przy patrzeniu drogą wsteczną ku źródłu woni. Przy obu teoriach jej istoty nie wykluczałem bynajmniej bezpo-

średniego działania na wyobraźnię i centra rozumujące, bez poprzedniej transpozycji na obraz wzrokowy.

Jak daleko sięgały me zdolności optyczne, sam nie wiedziałem. – Może i wydoskonalily się z wiekiem, chociaż wcale do tego nie przykładałem wagi. W każdym razie one to właśnie skłoniły mnie do przypuszczenia, że i poza wizją pięknej pani kryją się w istocie rzeczy ich odruchy.

Nieodwołalnie zdecydowałem się na przekroczenie muru; tylko obręb nim objęty mógł mi dać upragnione rozwiązanie ciemnej sprawy.

Nazajutrz po powzięciu postanowienia przyszedłem wcześniej nad ranem ze sznurową drabinką, zaopatrzoną u końca dwoma haczykami. Zarzuciwszy ten ruchomy pomost na szczyt muru, wdrapałem się nań z kolei sam. Był szeroki na metr, że wygodnie stanąłem na blankach.

Pyszny widok uderzył me oczy po spojrzeniu w dół. Przestrzeń w obrębie muru piętrzyła się we wschodniej stronie kształtem wzgórza zarosłego w całej swej rozciągłości różami. W części południowej obniżonej, wznosiła się wytworna, parterowa willa. Klomby pełne kwiatów, zaciszne aleje, kobierce trawników, inspekty, cieplarnia – wypełniały resztę w całość marzennie uroczą.

Przeszedłem mur wzdłuż pod kątem prostym aż do węgła, szukając miejsca do opuszczenia się na drugą stronę. Na sąsiedniej ścianie od wnętrza dostrzegłem coś w rodzaju drzwi: więc było wejście, lecz zręcznie zamaskowane od zewnątrz. Tu zesunąłem się po drabinie na dół...

Stałem naprzeciw gościnnie otwartych podwoi willi. Znać wszystkie drzwi były rozwarłe na przestrzał, bo daleko na drugim końcu, poprzez otwór krwawiły róże z ogrodu.

Zanurzyłem się w chłód pokoi. Zaraz u wstępu olśnił mię przepych. Urządzenie było stylowe, w guście średnio-

wiecznym. Duże, gotyckie okna osadzone we framugach, mahoniowe krzesła z wysokimi poręczami, ciężkie opony z aksamitu. Sale wielkie, wysoko sklepione; ze stropu podpartego arkadami zwisały kosztowne lampy olejne.

Przeważał ton ciemnoamarantowy. Ta barwa spływała od brokatowych obić ścian, nią tchnęły poroźścielane wszędzie kobierce.

Witraże w komnacie, zdaje się przeznaczonej na salon, wcedzały w jej wnętrze różnobarwną rozetę, która rozwachlarzała się, jak tarcza na małych kościach słoniową wykładanych organach. Klawiatura była otwarta. W srebrnych, kształtem kielicha rozwartych ramionach kandelabrow, tkwiły do połowy nadpalone świece, wkoło obsiadły je grube, łzawe grzyby, stężałe w białe stygmaty bólu: płacz gromnic.

Przeszedłem kolejno wszystkie pokoje. Wnętrze robiło wrażenie w pełnym toku przeciętego życia, momentalnego zastanowienia się: jak w baśni o śpiącej królownie – brakowało, zda się, tylko pocałunku młodego królewicza, by znowu w ruch wprowadzić zaklęty snem pałac. Nawet czas stanął: zegary z dawna snąc nie nakręcane, milczały głucho.

Spojrzałem na swój: wskazywał jedenastą rano. Znużony, wróciłem do sypialni. Nie wiem, czemu tu właśnie zapragnąłem odpocząć. Zapewne dlatego, że tu jeszcze najwięcej zastałem śladów przerwane go życia.

Usiadłem w fotelu, machinalnie biorąc do ręki jasną, kobiecą narzutkę, którą tam ktoś porzucił. Na posadzce, kilka kroków ode mnie leżała chusteczka z koronek, podniosłem ją: doszła mnie delikatna woń perfumy. Może tej z flakonu na kominku? Podszedłem – był rzeczywiście napełniony do połowy jakimś płynem. Wylałem parę kropel na dłoń i syknąłem jak poparzony. Czyżby trucizna? Wró-

ciłem na fotel, nie wypuszczając z ręki narzutki. Byłem senny, oszołomiony atmosferą domu, działała narkotycznie jak napój z dawnych, baśniowych czasów. Oparłem głowę o poręcz fotelu i zadrzemałem...

Owładnęło mną uczucie zadomowienia się, wejścia w duszę mieszkania. Każdy przedmiot prawie szeptał mi tajne swe dzieje, zwierzał historię miejsca. Przed oczyma moimi zaczęła się rozgrywać jakaś mimiczna gra bez słów, bez dźwięków.

Naraz rozsunała się kotara od sąsiedniej sali i do pokoju weszła ona – piękna jak zawsze i jak zawsze smutna.

Była wzburzona. Gwałtownym ruchem zdjęła ałasową narzutkę, okrywającą jej boskie ramiona i rzuciła ją na fotel, na którym siedziałem. Z wyrzutem zwróciła się w stronę, skąd przyszła; poruszenia ust wskazywały na to, że z kimś rozmawia, z kimś, co stał u wejścia. Lecz nie widziałem nikogo.

Rozmowa przybierała widocznie coraz drażliwszy charakter. Ruchy jej nabrały odcienia rozpaczki; widać gniew nie pomógł – uciekła się do prośby.

Wyciągnęła błagalnie swe cudne ręce i objęła nimi czyjąś szyję; lecz ręce odpadły pod brutalnym odepchnięciem. Więc rzuciła się kornie na kolana. Lecz oczy zdradzały beznadziejną rozpacz: nie wysłuchano jej. Wtem porwała się, jak śmiertelnie raniona i całym ciałem rzuciła naprzód; ręce, chcąc kogoś zatrzymać, natrafiły na próżnię i upadła bezwładnie na posadzkę...

Minęła długa chwila. Wreszcie ociężała, z wysiłkiem dźwignęła się i podeszła do kominka. Z dłoni wysunęła się koronkowa chusteczka w miejscu, gdzie ją podniosłem. Była w tej chwili odwrócona do mnie plecami, tak że nie mogłem poznać z ruchu rąk, co robi. Gdy zbliżyła się z kolei ku oknu, oczy jej świeciły suchym, szklanym wyrazem.

Patrzyła na coś na palcu z rozdzierającym uśmiechem: opuszczona.

Przestała się uśmiechać i krokiem powolnym, krokiem dogaresy¹ wyszła z pokoju. Jeszcze raz mignęła jej królewska postać tam u drzwi ogrodowych, zaślniła szafirowa strzała we włosach i znikła wśród róż.

Obudziłem się. W oczy uderzył mnie silny blask. Był to refleks od szklanych ścian pomarańczarni, który przeszywszy okno pokoju, dosięgnął mnie w półmroku. Spuściłem wzrok ku dołowi i zauważyłem, że wciąż jeszcze mam w rękę narzutkę. Począłem się jej przyglądać ciekawie:

– Więc to był punkt wyjścia... Stąd zaczęła się retrospekcja... Aha! prawda – też chusteczka. Punkty wytyczne. No i ona... naturalnie – i wszystko, co dotyczyły jej osoby. Lecz kim była ta postać druga, niewidzialna? Mężczyzną niezawodnie... Przypomniały mi się odciski kopyt widziane pierwszego dnia. Poczynaly się właśnie w tym miejscu muru, gdzie było zakryte wejście.

– Zatem to było wtedy... Może nawet parę chwil przed moim przybyciem...

Policzyłem dni: od czasu rozpoczęcia słonecznej kuracji upłynęło 7 dni. Popatrzyłem na kalendarz, stojący na biurku; nakręcono go raz ostatni 28 lipca, daty zgadzały się.

Opuściłem fotel i podążyłem w kierunku, w którym znikła. Po przejściu dwóch pokoi znalazłem się w ogrodzie u stóp różanego wzgórza. Wstępowało ku szczytowi w paru kolistych kondygnacjach, wyraźnie odciętych chodnikami, które okręgały je ślimakiem na każdym etapie. Z bijącym sercem zacząłem wspinać się na wierzchołek. Po drodze mijałem róże rozkwitłe w całej krasie, zionące upojną wonią z głębi zwojów, przechodziłem obojętnie koło posągów dłuta pierwszorzędných rzeźbiarzy, umieszczonych

1 Żona doży weneckiego.

u wstępu do nowego skreću serpentyny. Na ścieżce, okręcającej przedostatnim pierścieniem pagórek przystanąłem, zapuszczając niecierpliwe spojrzenie na szczyt od dołu prawie zakryty na głucho gęstwą róż.

Dopiero teraz spostrzegłem, że jak przedmurzem okalały naturalną altanę z krzewów mirtu. W trzech jej ścianach powycinano otwory w kształcie okien, obciągnięte po brzegach błękitną ramą barwinku. Głęboka zieleń chłodnika zestrajała się harmonijnie z purpurą otoczenia.

Gdy zachwycony arcydziełem sztuki ogrodniczej zachodziłem ku wejściu do altany, nagle zajrzawszy dokładniej w najbliższe z okien, zadrżałem...

W ramach mirtu zarysowały się plecy i głowa kobiety. Krucze włosy były uczesane w grecki węzeł, szyję ujmował wysoki kołnierz białej, kaszmirowej sukni à la Maria Stuart. Nie widziałem stąd twarzy, gdyż była odwrócona w przeciwną stronę. Lekkie przechylenie wstecz smukłej kibici nadawało jej wygląd rozkosznego marzenia, zapatrzenia się w dal, cichej kontemplacji południa. Nie chcąc przerywać, wstrzymałem się ośmielony... Gdy jednak przez dłuższy czas nie poruszyła się z miejsca, przemogłem się i przebywszy ostatni przegub wężownicy, stanąłem we wnętrzu altany.

Jedno spojrzenie w stronę nieznajomej wydarło mi z piersi okrzyk zgrozy. Na tle mirtów, wciśnięte w szerokie, trzcinowe krzesło z poręczami, siedziały zwłoki młodej kobiety w stadium najwyższego rozkładu. Twarz o szlachetnym, podłużnym owalu przedrażyły wstrętne, wygniłe jamy. Na strupieszalym palcu lewej ręki, zwisłej z poręczy krzesła, rozrzucał mokre blaski szmaragdowy sygnet. Był otwarty; odchyłone wieczko ukazywało wgłębienie wielkości naparstka: wewnątrz było puste...

Dościgało południe. Rozżarzona cisza skwaru sączyła wokół leniwy napój omdlenia, pętała mózg, omotywała wolę. Ze wszech stron zionęły gorączką jakieś olbrzymie pracowite dusze... wstrzykiwały fale ognia opętane tłocznie. Jakieś straszne, spiekłe usta rozchyliły czarne wargi i pragną, pragną, pragną...

Szaleją róże, purpurowe róże...

A wśród orgii róż, wśród rozpusty róż ta duszna, trupia woń...

PO STYCZNEJ

Wrzecki wyszedł z domu o trzeciej po południu.

Przedsięwziął dłuższą przechadzkę po mieście, by wśród bezcelowego błakania się po ulicach, przekradania pomiędzy domami zagłuszyć katującą go od miesiąca zmo-rę myśli, przeciąć pasmo sylogizmów, uparcie rozciągają-cych na torturach biedny mózg neurastenika.

Był rozstrojony do niemożliwości i wrażliwy na naj-drobniejsze szczegóły życia wewnętrznego. Przed pół ro-kiem przebył ciężką chorobę umysłową, która rzuciła na gangliony² niezatarte ślady swego przebiegu, jak odpływ pozostawia na nadbrzeżnych ławicach wywleczone morsz-czyny. Rozgałęziły mu się warstwą przybylczą, zrazu obcą, pasożytną, by po jakimś czasie włączyć się jako organiczne ogniwo i wytworzyć nowe skojarzenia i związki.

Dawniej trochę bezładny w myśleniu, zaczął teraz rozu-mować z bezprzykładną logicznością aż do męczarni, kształ-tować mnóstwo najnieprawdopodobniejszych teorii i teoryjek i poddawać się ich sugestywnej pseudooczywistości.

Wytworzył się tu pewien rodzaj wyobrażeń musowych, imperatywnych, którym nie ulec było dlań niemożliwością. Bez wątpienia przyczyniły się do tego w znacznej mierze zarodki czegoś podobnego już z lat dzieciństwa. Podłoże ich było wtedy religijno-mistyczne. Niespełnienie np. ja-

2 Ganglion – guzek – tu zwój mózgowy.

kiejś błahej czynności, niewykonanie jakiegoś gestu itp. groziło mu ściągnięciem na się kary bożej, potępienia i przeróżnych nieszczęść. Samodržeczylstwo to wprawiało go czasami w rozpacz bez granic, gdyż, skutą przesadną obawą umysł dziecka nie znachodził nigdzie wyjścia z katowni. W miarę rozwoju inteligencji obłęd mijał. Po przesileniu się nieszczęsnej choroby mózgu powrócił, chociaż w zmienionych znacznie kształtach.

Począł snuć z lodową logiką dzikie poglądy, układać szaleńcze teorematy i wypatrywać, czy przypadkiem nie znachodzą sprawdzianu w życiu go otaczającym. Najsłabszy choćby cień czegoś w tym rodzaju, nabierał w rozwyrzonej wyobraźni rysów pełnych, nasyconych i zniewalał go do poddawania się wnioskom stąd zajadłe logicznym.

Doznawał dziwnej rozkoszy, ilekroć zdawało mu się, że jego *systematy* zdradzają jaką taką rację bytu. Niemniej jednak zaznaczyć należy szczegół charakterystyczny, który poniekąd usprawiedliwiał go w niektórych wypadkach: istotnie zdarzały się nieraz okoliczności tego rodzaju, że dostarczały mu tworzywa dowodowego; życie jakby siliło się umotywować bieg myślowy szczególnego osobnika. Lecz tu zaczyna się rozwiewna rubież słońca i nocy, jasności i mroków, grunt niepewny, torfiasty, wiecznie dymiący oparami, odurzający czadem. – Czy Wrzecki był obłąkańcem? Czy Wrzecki miał słuszość? – Może i jedno i drugie. Dylemat bez wyjścia.

*W glecerach bytu nieci słońce krwawe ognie,
Iglíce szczytów dyszą krwią...
Glecery bytu kwefy mgieł stuliły.
Na cyplach ćmi się noc...
Czy prawdą mgły, czy krew?
I z słońca mgły się rodzą...*

Wrzecki już od godziny przecinał przecznice, krążył po najludniejszych placach, chodnikach, wystawał przed sklepami, czepiając się szklanym wzrokiem krzykliwych barw i kształtów...

Dzień był jesienny, przeniknięty śreżogą dymów, wilgocią dżdżu. Z rozchwiei mgieł wysnuwały się jakieś twarze widmowe, maski zagadek, zacięte usta symbolów. Zdawało mu się, że każda z nich patrzy weń ze szczególnym wyrazem, jakby porozumiewawczo, z sennie-nudnym grymasem, poza którym kryła się świadomość prawdy wspólnej, tak dobrze obojgu im znanej, że się nawet nie ma co silić na jej podkreślanie.

Znużyły go twarze: przeszedł na odludną ulicę.

Była wypełniona po brzegi mlecznymi złożami oparów. Szedł ostrożnie, by nie natknąć na latarnię. Po pewnym czasie uczył na plecach czyjąś rękę:

– Serwus Władek!

– A! to ty!... Nie poznałem – ale bo mgła zakuta!

Wrzecki serdecznie ścisnął podaną mu dłoń.

– Dokąd?

– Do prosektorium.

– A! do trupiarenki, operacyjka? Krajanie nieboszczyka? Co?

– Coś w tym rodzaju.

– Co to za cenny szpargał w kieszeni?

– Rzecz dość ciekawa: *O samozatruciu u węzów*. Problem zajmujący. Kto wie – może i tam bywają tragedie?...

– Hm! Rzeczywiście. Ale ty się widocznie śpieszysz. Do miłego zatem!

Pożegnali się. – Wrzecki już miał skrócić w prawo, gdy w tym dogonił go kolega-medyk.

– Ale, ale. Korzystaj ze sposobności, dopóki cię znów nie napadnie mania ślęczenia tygodniami w domu. *Mon cher*, radzę ci przejść się po wystawie. Oto akcja. Pyszne rzeczy, na honor! Parę niezrównanych szkiców i pejzaży i nasz stary w gronie asystentów: wściekła gęba! Wszyscyśmy pochwyceni jak złodzieje na gorącym uczynku. Setny chłop! No, serwus!

Wsunąwszy mu w rękę akcję, szybko oddalił się.

Wrzecki machinalnie zawrócił w stronę wystawy. Po jakimś czasie wynurzyło się pytanie:

– Co też mu zależało na tym, bym oglądał obrazy? Także!...

W chwilę później zastanowiła go własna ciekawość co do owych papierów, wyzierających z paltota młodego eskulapa.

– A przecież, gdybym się nie był zapytał, nie dowiedziałbym się tytułu rozprawki. Cóż mnie to znowu tak zajęło?

Obok mignęło w przechodzie jak przez sen dwóch mężczyzn o czymś żywo rozprawiających. Doleciał go urywek dialogu.

– Ależ na miłość boską nie wiadomy panu powód szalonego?

– Owszem, mówią, że pojedynek amerykański! Wyciągnął podobno czarną...

Resztę zgłuszył turkot przejeżdżającego wozu, wchłonęła mgła.

– Przecież to skończony idiotyzm zdawać się na takie rozstrzygnięcie sprawy – pomyślał.

Uczuł się bardzo znużonym: nerwowy ból głowy dukał mu nieznośnie. Usiadł na ławce pobliskiego skweru, wyjął papierosa i zapalił. Miejsce było zaciszne, wkoło przekwitających krzaków róż jesiennych. Drobne, herba-

ciane płatki, spadłszy z pąkowania, zatrzymały się tu i ówdzie na gałązkach, lub rozsypały na trawniku w bezładny ornament. Na prętach dumały łzawo krople mgły; zarysowywał się wąski, przejrzysty pasek, opijał wodą, pęczniał, wahał się, by wreszcie stoczyć się wyraźnym kształtem kuli. Coś podchodziło kryjomy ruchem do świadomości, wkładało się coraz dokładniej, natarczywiej... skryształizowało się.

Zastanówmy się. Czyś nie zauważył momentu wspólnego między spotkaniem z Brzegotą a fragmentem posłyszanej rozmowy? Aha! jesteśmy na tropie. Samozatrucie u węży i następstwa wyciągnięcia czarnej gałki. Wybornie! Zachwycająco! Punkty zdradzają stylizację; możemy je połączyć.

Wrzecki był w wyśmienitym humorze: zwietrzył materiał dowodowy dla jednej ze swych *teorii*. Specjalny zapal do matematyki nie pozostał i tu bez wpływu na sposób jej ukształtowania.

Wychodząc ze systemu planetarnego, przedstawił sobie graficznie bieg życia rozmaitych jednostek i zdarzeń jako wydłużone elipsy, po których dany osobnik krążył na sposób punktu matematycznego. Linie te stanowiły dla siebie zwarte całości, ze swoistą organizacją, ideą, planem, wyłączną konstrukcją. Elipsy te jak stosunki ludzkie musiały się oczywiście wzajemnie krzyżować, przecinać w najprzeróżniejszych kombinacjach, oddziaływając na się odpowiednio do zgrupowania jednoplanowego; wszystkie bowiem musiały rozpościerać swe skręty li tylko w jednej płaszczyźnie. Elipsy o kierunkach wichrowatych jako wyobrażenia zdarzeń i życiowego biegu jednostek, zupełnie się wzajemnie stykających, nie znachodziły punktów przecięcia. Wśród tej zawilej sieci spostrzegł jednak Wrzecki, że krzywizny mogą się tak ustawić punktami największego rozmachu, że da się przez nie przeprowadzić linię prostą.

Będzie nią styczna do elips łącząca ich kończyny poza obrębem pól. Linia chwilowych pozycji, które w najbliższym momencie mają się zmienić na inne, konsekwentne z poprzednimi, pogonić dalej w obranym kierunku własnego ustroju, a przecież w tej jednej chwili służą za punkty oparcia nieubłaganej prostej! Linia zupełnie przypadkowych zdarzeń, śmiesznie bezcelowych zestawień, dziwaczných do bezsensu zbiegów okoliczności.

A jednak Wrzeckiemu przedstawiała się sprawa nieco inaczej: nauczył się dostrzegać pewną stylizację w doborze punktów największych wychyleń. Widział coś więcej poza przypadkowością uszeregowania. Wedle niego można tu było wysledzić specjalny związek, mający na celu coś wskazać, coś odkryć, spełnić jakąś przeznaczeniową rolę wobec tego, czyją uwagę uderzyła wyjątkowa linia. Dotąd Wrzecki pozostawał ciągle w sferze teorii: rozumował. Nie natknął się jeszcze na swą styczną w rzeczywistości, chociaż wierzył w możliwość jej realnego istnienia. Życie jego wirowało ciągle jeszcze jak u innych po normalnej elipsie, ulegało cierpliwie dośrodkowym siłom przeciętnych zdarzeń, niewzbudzającej podejrzeń wynikliwości wypadków, psychologicznych lub mechanicznych następstw. Niemniej był gotów w każdej chwili, za najmniejszym potrąceniem z zewnątrz, wypaść z toru i podążyć z fatalną szybkością po zabłąkanej kolejinie; przeczuwał, że wtedy odśrodkowe działanie weźmie nad nim stanowczo górę i popchnie go, jak koło wyslizłe z pasów transmisji, w zawrotne dale. Powłókłby go tam urok niezwykłości i pochlebne sprawdzenie teorii – a może... przeznaczenie. Wrzecki był czcicielem rzeczy tajemnych...

Gdzie mogła zaprowadzić przypuszczalna droga, nie wiedział. Zależałoby to od rodzaju jej punktów wytycznych. W tej chwili miał wrażenie, że poczyzna zbaczać; wy-

SPIS TREŚCI

NA WZGÓRZU RÓŻ	5
PO STYCZNEJ	19
ZEZ	34
CIEŃ	48
PUSZCZYK	70
WAMPIR	89
SZALONA ZAGRODA	100
POMSTA ZIEMI	109
KLĄTWA	128
W godzinę chuci	128
Na lewadzie	133
Czarci Skok	139
PODZWONNE	144
KLASZTOR I MORZE	156
Ave maris stella!	156
Dzień powszedni	168
Dzieci morza	187
Miało się pod nieszpór	208
Krajobraz zimowy	227
Ciemna jutrznia	241
Kapitan brygolety	251
Pusta noc	279
Oblóczyny	287
A gdy o brzasku minął sztorm	292